

Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:

Wilno, Sierakowskiego № 21 m. 6.

Czynne od g. 12 — 2 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona — 50 zł.

1/2 „ — 25 „

1/4 „ — 13 „

1/8 „ — 7 „

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

Literacki imperjalizm.

P. K. W. Zawodziński jest znanym krytykiem literackim. Obecnie zapragnął laurów również na polu publicystycznym. Obawiamy się, że nadzieja ta go zawiedzie. Przynajmniej artykuł „Z zagadnień imperjalizmu i nacjonalizmu”, zamieszczony w numerze propagandowym „Słowa” z d. 26 stycznia b. r. nie świadczy korzystnie o jego wyrobieniu politycznym.

W artykule tym p. Zawodziński występuje jako zwolennik i wyznawca imperjalizmu, przeciwstawiając go zarówno nacjonalizmowi endeckiemu, jak i demokratycznej ideologii, opartej na zasadzie samostanowienia narodów, którą uważa także za wytwór myślenia nacjonalistycznymi kategorjami. Zdaniem p. Zawodzińskiego doktrynie nacjonalistycznej należy zawdzięczać, że opinia polska „stосуje przy miotnik „ukraiński” do wszystkich Rusinów i pomaga do rozpowszechnienia go na tereny, gdzie o nim przed 15 laty jeszcze nikomu się nie śniło”, że „tworzy koncepcję ugody z Ukraińcami w kategorjach integralnego nacjonalizmu”, że wydawane są odezwy białoruskie, „których nikt nie czyta” i czyniono „nieudane próby” gimnazjum białoruskiego, że machnięto ręką na Litwę Kowieńską i pogodzono się łatwo z jej aspiracjami narodowymi...

Inaczejby sprawa się przedstawiała, gdyby społeczeństwo polskie posłuszne było wskazaniom imperjalizmu i okazywało większe zrozumienie dla tradycji historycznych. Coby wtedy nastąpiło, tego p. Zawodziński wyraźnie nie mówi. Daje tylko do zrozumienia, że wówczas Polska byłaby potężnym mocarstwem, a t. zw. sprawa polsko-litewska przestałaby istnieć, gdyż zostałaby rozwiązana przez... restytucję Wielkiego Księstwa Litewskiego. Tej tezy p. Zawodziński szerzej nie motywuje, jak zresztą

w całym swym artykule nie precyzuje jasno przesłanek, na których opiera swe oryginalne wnioski. Można jednak wyrozumieć myśl przewodnią autora.

P. Zawodziński, zdaje się, jest święcie przekonany, że proces rozwojowy poszczególnych narodowości, wchodzących w skład Rzeczypospolitej przedrozbiorowej, jest najzupełniej sztuczny i że powstał on pod wpływem propagandy i taktyki polskiego ruchu niepodległościowego, który w swej walce z Rosją pokładał wielkie nadzieje w próbach jej rozsadzenia za pomocą obudzenia dążeń emancypacyjnych wśród Litwinów, Białorusinów i Ukraińców.

To jedna przesłanka.

Drugą przesłankę stanowi głębokie przeświadczenie autora, że Polska mogłaby z łatwością przekreślić te wszystkie zbyteczne „nacjonalizmy”, gdyby po otrzymaniu niepodległości, stanęła mocno na gruncie historycznym i wskrzesiła przedrozbiorowe formy ustroju państwowego. Dążenia narodowe litewskie (nie mówiąc już o białoruskich, które dla autora są *quantité négligeable*) zostałyby zaspokojone, gdyby uwzględniono historyczny separatyzm wielkolitewski, gdyby wzięto pod uwagę „antypatję do koroniarzy, silne i aktualne do ostatnich lat uczucie...”

Wniosek nasuwa się oczywisty. Tak nietrudno uwolnić się od konfliktów wewnętrznych i trudności zewnętrznych. Wystarczy zerwać z wilsonowską zasadą samostanowienia narodów i wznieść się ponad „nacjonalistyczne” kategorje myślenia, które stwarzają „coraz większe rozproszkowanie kulturalne i zamykanie się ekonomiczne niezdolnych właściwie do życia tworców państwowych”.

Na rozumowaniu p. Zawodzińskiego zaciążyły fatalnie jego upodobania literackie, a jeszcze bardziej jego bliska styczność z dworami „kresowemi”, której zawdzięcza typowe dla tutejszego ziemiaństwa powierzchowne zapatrywania na kwestje narodowościowe: litewską, białoruską i ukraińską. Przecież cała

ta sfera szlachecka, do której p. Zawodziński należy pochodzeniem, sentymentem i przekonaniem, opiera swój program polityczny na dwóch zasadniczych momentach: jednym z nich jest lekceważenie i ignorowanie nowych czynników ludowych, mimo oczywistej ich siły i znaczenia, drugim zaś niechęć do żywiołów napływowych z Galicji i Kongresówki. Niechęć ta nie płynie z głębszych źródeł historycznego separatyzmu, lecz z poczucia swego zdegradowania, upośledzenia wobec przybyszów, odegrających w obecnych warunkach rolę dominującą i decydującą. Względem jednych i drugich nasza szlachta, której nieświadomym może rzecznikiem jest p. Zawodziński, zajmuje stanowisko wyraźnej wyższości i pewnej pogardy, nie okazywanej zresztą jawnie tam, gdzie to może grozić przykreimi konsekwencjami.

Na tym gruncie wyrasta ideał restytucji W. Ks. Litewskiego, sui generis krajowość, podsycana m. inn. przez „Słowo”, która wysuwa bardzo uproszczony program: oddajcie nam rządy niepodzielne nad krajem, a my i porządek w nim utrzymamy i przywrócimy mu może dawne granice. W artykule p. Zawodzińskiego znajduje się bardzo charakterystyczny ustęp: „Właśnie Litwa Kowieńska daje nam przykład wyzyskiwania walorów historycznych w walce politycznej, i choć naprawdę przeciwko nam, *spadkobiercom prawnym* W. Ks. Litewskiego posiada tylko jedno brzmienie swej nazwy”. Kogo ma na myśli tu p. Zawodziński? Kogo uważa za spadkobierców spuścizny po Witoldzie Wielkim? Przecież nie Polaków wogóle, bo to byłoby sprzeczne i z prawdą historyczną i z postulatem restytucji W. Ks. Litewskiego. Oczywiście więc polską szlachtę miejscową, na której wątle barki wkłada autor wyłączne brzemie sukcesji.

Pomijając już najzupełniej uzasadnioną wątpliwość, czy Polacy litewscy w (znaczeniu historycznym) roszczą jakiegokolwiek pretensje do tego dziedzictwa, jest wprost nie do pomyślenia, aby mogli oni udźwignąć o własnych siłach ciężar wskrzeszonego

W. Księstwa Litewskiego, a tembardziej, aby mogli realizować szeroko zakreślone zadania polskiego imperjalizmu na wschodzie. Są to marzenia ściętej głowy. Mogliby Polacy na ziemiach litewsko-białoruskich istotnie odegrać rolę historyczną i doniosłą w skutkach (na wzór Szwedów w Finlandji), ale pod warunkiem oparcia się o miejscową ludność tubylczą, zrozumienia i poszanowania jej interesów narodowych. Wówczas W. Ks. Litewskie, restytuowane na nowoczesnych podstawach federacyjnych, w nowym kształcie zewnętrznym i wewnętrznym miałyby rację bytu, posiadałoby zapewnione warunki trwałości i rozwoju. Ale ta droga nie ma nic wspólnego z imperjalizmem.

P. Zawodziński ubolewa nad zanikiem tradycji historycznych w Polsce i nawołuje między wierszami do odbudowy Rzeczypospolitej historycznej. Nie możemy wymagać od krytyka literackiego, by posiadał dokładną znajomość dziejów, jednakże nie trzeba być specjalistą historykiem, aby wiedzieć, iż unja Polski z Litwą nie była dziełem imperjalizmu polskiego, lecz przeciwnie wyrazem przedwczesnej, jak na tamte czasy, idei federacyjnej. I właśnie ta zasada równości, dopóki była respektowana, zapewniała utworzonemu przy jej pomocy państwu potęgę i świetność. Z biegiem czasu zaczęły ujawniać się i nabierać mocy tendencje zachłanne. Zasada równości uległa spaceniu, a w rezultacie wzmagający się imperjalizm polski poniósł dotkliwą klęskę na południowym wschodzie i w końcu zbankrutował doszczętnie, pogrążając w ruinie całe państwo. Polityka Jagiellonów i polityka możnowładców polskich to są dwie całkiem różne drogi, a p. Zawodziński, traktujący z lekceważeniem odrębności etniczne, wydaje się być o wiele bliższym Jeremiemu Wiśniowieckiemu, niż Lwu Sapieżu.

A zresztą trzeba pamiętać, że „przeżytych kształtów żaden cud nie wróci do istnienia”. Przeżytkiem zaś, krzyżującym anachronizmem jest to, o czem marzą p. Zawodziński i inni imperjaliści ze „Słowa”.

Prototyp endeka z XVIII w.

Miała Włochy Machiavellego, ale miała też swoich domorosłych Machiavelów Polska. Może nigdzie nie ujawnił się ten machiawelizm sarmacki tak wyraźnie, jak w projekcie zniesienia Unji w r. 1717. Znalaziono go w b. bazylijańskim klasztorze w Tadulinie, w ziemi Połockiej. Fascykuł odnośny nosił napis: *Litterae Secretae*, u dołu *Religio*. Drukiem ogłosił go w całości „Więstnik Jugo-Zapadnoj i Zapadnoj Rossii” za r. 1862.

Niżej podajemy ustępy wydatniejsze tego nader ciekawego dokumentu. Głos zabiera nieznanemu autorowi projektu, rzecznikowi zniesienia tak unji, jak dyzunji.

„...Stany Królestwa i każdy w szczególności Polak, jeżeli chce ocalić i ubezpieczyć ojczyznę, ten na siebie włożyć powinien obowiązek, ażeby obrzą-

dek grecki, obrządkowi łacińskiemu przeciwny, już to wzgardą, już prześladowaniem, już uciśnieniem tenże zachowujących, już innemi, ile być może, najskuteczniejszymi znosił sposobami.

Ja z dawnych Polaków obrządku łacińskiego mając sobie krew przelaną, żądając z serca uszczerbienia mojej ojczyzny i większego coraz szerszenia się wiary rzymsko-katolickiej, do wykorzenia zabobonnych lub jakichkolwiek obrządków greckich, a wprowadzenia na to miejsce wiary świętej rzymskiego kościoła, te z mojej strony najskuteczniejsze i najzbawienniejsze być sędzę i wszystkim prawdziwym wiary i ojczyzny miłośnikom podaję sposoby:

Najprzód. Tedy, ażeby tak zbawienne i pożądane wykonaliśmy dzieło, mamy się starać z Moskwą zachować niejaką przyjaźń...

Powtóre. Szlachta ruskiego obrządku, chociaż zostająca w kraju, a tem bardziej schyzmatycki, do żadnych ojczystych nie mają być przypuszczeni

Szwindel firmowy.

Młodzież mocarstwowa, ta „przyszłość narodu”, zamieściła niedawno w wileńskim „Słowie” artykuł Zbigniewa Żaby p. t. „Mocarstwowy Ost-Program”, w którym czytamy dosłownie: „Ostatnio, bo w roku zeszłym czytaliśmy w prasie o próbach zainicjowania kolonizacji kupiecko-rzemieśniczej, skierowanej na Kresy Wschodnie. Zdrowy ten odruch sfer mieszczańskich Wielkopolski i Pomorza spotyka się z poparciem społeczeństwa kresowego i *jest inspirowany głównie przez Akcję Katolicką, o czym zresztą nadmieniali dwa poczytne pisma ultra-katolickie: „Mały Dziennik” i „Przewodnik Katolicki”.*

Już przed wojną światową myślała Warszawa o akcji kolonizacyjnej na Litwie i Białorusi. Służyć miała temu ówczesna firma „Kłobski i Ska”. Była to jednak słaba tylko przygrywka do poczynań powojennych. Niedosć było u nas akcji osadniczej i napływu galileuszy do wszelkich urzędów. Powstał jak widać nowy pomysł, mający dać wyniki lepsze, niż przedsięwzięcia powyższe. I oto, co miało być wśród dechrystyanizującego się świata społecznego w myśl Piusa XI, punktem oparcia dla Kościoła, t. j. Akcją Katolicką, przerabia się dziś, trafiwszy do rąk endecji, na naszych oczach w wyrafinowane narzędzie polityki nacjonalistycznej. Myśl ta dojrzała w stolicy prymasowskiej, lecz czy posiada jego błogosławieństwo i wysoką protekcję? Purpura obowiązuje.

Jednak widać, że katolicy polscy ani chcą ani umieją poprowadzić Akcji Katolickiej tak, jak ją prowadzi cały świat katolicki i publicznie za pośrednictwem swej prasy, ogłaszają, że zmieniają *de facto* jej treść najistotniejszą, wyznaczając Akcji Katolickiej najzupełniej obcą jej funkcję. Cynizm takiego postępowania zakrawa czasem na pełne lubowanie się w sobie samooskarżenie, bć w czym interesie być może ta gra w otwarte karty? Jest nawet gorzej, bo to już nawet nie bankructwo pewnego przedsięwzięcia, lecz *oszustwo pospolite*. Wygląda to tak, jakby jakiś endek zaczął przemycać ufnym członkom swego stronnictwa zasady socjalistyczne lub socjalista wykonywać rękami członków swej partji robotę proendecką.

W numerze propagandowym „Słowa”, prof. M. Zdziechowski nawoływał świeżo a słusznie do

urzędów... W szczególności zaś każdy Polak w kompanjach ma stronić od Rusina, w sąsiedztwie żadnej z nim, chyba dla swego pożytku, nie zabierać przyjaźni, w dyskursach przy Rusinie przytomnym o ruskich zabobonach najwięcej i najobszerniej mówić i t. d. A tak upewnić prawie mogę, że każdy woli obrządek odmienić i wyrzec się, że był kiedyś Rusinem, niżeli tyle umartwienia śmierci równającego się przez całe życie ponosić.

Po trzecie. Majętniejsi obywatele ojczyzny do żadnych usług, takich, na którychby mogli nabierać oświecenia, Rusinów przyjmować nie mają, chyba nadzieję mieć mogą, że swoich obrządków odstąpią: tak bowiem w prostactwie zostając, do wielkiego przyjdą ubóstwa i w ostatniej zostaną pogardzie; a zatem, albo w swej nędzy upadać, albo dla jakowej promocji obrządek odmienić będą musieli.

Po czwarte. Że jeszcze znaczna część Rusinów majątnych w miastach i miasteczkach na Rusi fun-

heroicznego chrześcijaństwa, jako jedyne *remedium* na bolączki wieku zażartej walki klasowej, prowadzonej w imię hasel materialistycznych. Jak jednak się zdobyć na chrześcijaństwo heroiczne, gdy zaczyna poprostu zanikać uczciwość elementarna w ujmowaniu i traktowaniu przez katolików jego zadań podstawowych?...

Ci nieliczni idealisci, którzy pozostali wierni zasadom uniwersalizmu katolickiego powinni zabrać głos i napiętnować niecną robotę spekulantów, chcących Akcję Katolicką przerobić na *Akcję Kolonizacji Mieszczańskiej* naszego kraju.

Od tegoby trzeba zacząć.

Vigilans.

Z mego notatnika.

Niewdzięcznik.

P. Jerzy Wyszomirski, którego świetne feljetony stanowiły przez kilka lat ozdobę „Słowa”, jak wiadomo, w roku ubiegłym opuścił Wilno, przenosząc się do Warszawy. Powietrze warszawskie jednakże wyraźnie mu nie służy. Subtelny dowcip i zacięcie satyryczne ulotniły się bez śladu, ustępując miejscą zręczeniu i pospolitej żółci. Z Wilna, w którym przeżył tyle lat i które umiało ocenić jego talent, nie wywiózł widocznie przyjemnych wspomnień, bo w takich oto posępnych barwach odmalowuje je na łamach „Wiadomości Literackich”.

„Wilno cieszy się w Polsce platonicznymi sympatjami (miasto Mickiewicza i Piłsudskiego), ale mało kogo interesuje atmosfera życia tamtejszego, jego ubóstwo, jego leniwe tętno, jego chandra, prędzej czy później rozmiękczająca człowieka. To dwustutysięczne miasto, stolica rozległego regionu, jest w gruncie rzeczy wielkim partykularzem. Ma ono przecież zaledwie siedem kin (w tem jedno nieme—dla najbardziej i brudnej ulicy), zaledwie cztery możliwe kawiarnie, zaledwie sześć restauracji t. zw. pierwszego rzędu, w których bywa pełno w pierwszych dniach miesiąca; potem posępna pustka lub wstydlawy kredyt. Ma wprawdzie dwa teatry, ale gdy moda na operetkę, w teatrze dramatycznym zajęte są tylko „darmowe” miejsca; gdy niepojętem zrzadzeniem losu zawita powodzenie do teatru dramatycznego, operetka robi bokami. W tem mieście każda próba walki literackiej, artystycznej czy ideowej kończy się z reguły plotką, oszczerstwem, obrazą osobistą lub pukaniem z wielkich pistoletów, wypożyczanych po niezliczonych korpacjach. W tem mieście niema dziś ani jednej księgar-

downych znajduje się, i tych do niedostatku i niewiadomości przyprowadzać trzeba, ażeby ani się pieniędzmi ratować, ani rozumem dać rady sobie nie mogli. To zaś w następujący wykonać można sposób: jeżeli miasta będą w dobrach ziemskich, dziedzićce jednym wprowadzeniem Żydów i lokowaniem ich w rynku zgubią Rusiaków, ci bowiem przez naturalną żydowską przebiegłość, wszystkie do siebie zagarną zyski, i Ruś w mieście skupiwszy, na przedmieście do pańszczyzny wyszłą. Jeżeli zaś miasta będą królewszczyzną mianowane, z tych pomniejszych mieszkańcy mają być, pod różnemi pretekstami, od ichmość starostów do pańszczyzny robienia wyciągani powoli i przyuczani. W niektórych zaś, oprócz wprowadzenia Żydów, dla wyżej pomienionej przyczyny, wprowadzić nieco potrzeba rzymskich katolików; a potem od przełożenia i wszelkiej w mieście zwierzchności, jakkolwiek czyniącej profit, odsadzać Rusnaków, samych tylko utrzymując przy tychże

ni nakładowej. Zrzadka, kilka razy do roku ukaże się jakaś broszurka — przyczynek i roczne sprawozdanie Tow. Przyjaciół Nauk i to dzięki zasilkom ministerjalnym. W tem mieście nakoniec jest tylko jedno skromne muzeum, nigdy przez wilanian nieodwiedzane...

Słowem marna prowincjonalna dziura.

Ale czy tak jest istotnie, jak pisze rozgorączkowany p. Wyszomirski? Że miasto jest biedne i że publiczność nie może zapełnić sześciu pierwszorzędnych restauracyj w ciągu całego miesiąca, to jest prawda, ale ostatecznie nie przynosi to mu wielkiej ujmę. Natomiast ruch wydawniczy nie jest znów tak nikły, jak go przedstawia p. Wyszomirski.

I T-wo Przyjaciół Nauk, i Uniwersytet, i Instytut Badawczy Europy Wschodniej, i T-wo Pomocy Naukowej im. Wróblewskich, i księgarnia J. Zawadzkiego i prywatni nakładcy corocznie wydają szereg dzieł, nieraz bardzo cennych, a w każdym razie pouważalnych pod względem objętościowym. Muzeów również jest o wiele więcej. Dziwna rzecz, że p. Wyszomirski, przebywając tak długo w Wilnie, nie słyszał nic ani o zbiorach muzealnych przy bibliotece im. Wróblewskich, ani o Muzeum Białoruskiem, ani o Muzeum Etnograficznym Litewskim.

Ten fakt, że dwa teatry nie mogą liczyć jednocześnie na dostateczną frekwencję, nie powinien nikogo dziwić. Nie trzeba zapominać, że chociaż Wilno liczy około 200.000 mieszkańców, ale jest to miasto wybitnie różnojęzyczne. Polskie Wilno, to, które głównie uczęszcza do teatrów na Pohulance i w Lutni, jest znacznie szczuplejsze i oczywiście dwóch teatrów utrzymać nie może. Kina zaś, które gromadzą publiczność bez różnicy narodowości, nie skarżą się na brak widzów.

Pisząc o Wilnie, o jego życiu i atmosferze p. Wyszomirski nie uwzględnił zupełnie jego specjalnych warunków, na które zwrócił swego czasu uwagę Kraszewski, nazywając je „rozdrożem ludów“.

Ale Kraszewski znał, rozumiał i kochał Wilno, p. Wyszomirski zaś potrafi zeń tylko szydzić.

Licz.

Prosimy o odnowienie prenumeraty na rok 1936.

rzymskich katolików. Jako też i w tem trzeba pilność mieć, ażeby wszelkie dekreta z Magdeburgii i inne pisma po polsku, a nie po rusku wychodziły, a tak Rusnacy więksi, jak byli, prostacy zostaną i żadnej w miastach nie będą mieli ani mocy, ani powagi.

Po piąte. Najtrudniejszy w tej zbawiennej osnowie do rozwiązania węzeł, są władcy i popi, z których potrzeba pierwszych zaslepić, żeby nie widzieli wszystkiego, a drugich obarczyć, żeby się ani w górę wznosić, ani myśleć lub czynić, coby chcieli, nie mogli..., żeby i myślą tego nie dociekli, co względem ich i całej Rusi, w subtelności projektować się i wykonywać będzie.

Po szóste. Ichmość wielebni biskupi nasi (łacińscy) wszyscy w pospolitości, wzięwszy się, jak mówią, za ręce, mają to powoli, z usilnym wykonywać staraniem, ażeby władcy (gr.-katolicy) suraganów tylko tytuł mieli, pod taką dependencją

FELJETON.

Ciocia Biurcia.

Któż to jest taki „ciocia Biurcia“? ... Tak odrazu wyjaśnić niesposób. Trzeba zacząć od tego, jaki właściwie ustrój panuje w Polsce. Wzdomo wszystkim, że republikański, ale to jeszcze nic nie mówi. Może być republika demokratyczna, arystokratyczna, plutokratyczna, dyktatorska i t. d. Słowo „republika“ znaczy tylko tyle, że niema króla ani cesarza, a jest prezydent. Znamy taką republikę, gdzie panuje dyktatura jednostki i znamy taką monarchję, gdzie rządzi parlament, oparty na opinii publicznej. Trudno się połapać, jak to właściwie jest w Polsce. Po dobrem jednak zastanowieniu się nad tą kwestją, można przyjść do przekonania, że w obecnych czasach Polską rządzi miła bardzo osoba, a mianowicie „ciocia Biurcia“.

Pełne jej imię zawiera połączenie dwóch pierwiastków, pochodzących z bardzo od siebie odległych epok. Pierwsze dwie sylaby dał nam w czasach nowożytnych język francuski i oznaczają one coś w rodzaju stołu do pisania, który często posiada przysłowiowe „stołowe nogi“. Pozostałe dwie sylaby wywodzą się z języka staro-greckiego i znaczą — władztwo, panowanie. Stąd całe imię cioci Biurci oznaczałoby w przekładzie na język polski — coś jakby „stołowładztwo“, a w przekładzie wolniejszym — „panowanie nóg stołowych“. Nie będziemy jednak używali pełnego imienia naszej władczyni i nazwiemy ją ciepło i pieszczotliwie „ciocią Biurcią“. Przypomina to coś „ciocię Ymcię“, której również nikt nie nazywa pełnem imieniem.

Ciocia Biurcia, według diagnozy wielu lekarzy chorób państwowych, cierpi na znaczny przerost swego ciała. Zażywna ta dama winna poddać się corychlej kuracji odtłuszczającej. Śmiało mogłaby stracić przynajmniej połowę swojej żywej wagi. Byłoby to z korzyścią dla niej samej i dla obywateli, które ma spełniać. Ale ciocia Biurcia jest uparta i zamiast chudnąć — ciągle tyje. Stąd utrzymanie jej kosztuje więcej, niż jej włości mogą dostarczyć.

Poddawana od czasu do czasu badaniom biegłych psychjatrów, ciocia Biurcia wykazuje stale progresującą megalomanję. Uznaje się za nieomylną i nie znosi innego zdania, jak tylko swoje własne.

i zwierchnością zostając, ażeby oni i ich popi od naszych prałatów wizytowani, a w nieprzystojnościach publicznie karani i w zabobonach swoich przestrzegani byli...

Po siódme. Popi jaknajwięksi są czasów naszych prostacy, w niczem niebiegli, nieukowie, i takimi jeżeli na zawsze zostaną, nie będzie to przeszkadzać, ale owszem dopomagać do łatwiejszego wykonania skutkiem projektu naszego. W niedoskonałości bowiem i niewiadomości będąc..., ani ludzi, że te prawdziwie od świętych Ojców greckich pochodzą, nauczać, ani jaśnie i dowodnie, że są w niczem nieodmienne i niezabobonne, probować, ani nakoniec ich zniesieniu sprzeciwić się rozumnie nie będą mogli. Do utrzymania zaś ich, arcy nam potrzebnego, w tej grubej ciemności środek najskuteczniejszy być rozumem ubóstwo, w którym jak dotąd zostawali, tak z niego i nie wydobędą się nigdy, jeżeli z niemi w tem sposób postąpimy sobie..

Cierpieć zwłaszcza nie może głosów t. zw. opinii publicznej, chyba, że ta ostatnia wyraża poglądy zrodzone na jej biurku. W przeciwnym razie ciocia Biurcia unosi się mocno i zamyka usta wszystkim oponentom, lub też zamyka samych oponentów. Taktyka taka ma tę dobrą stronę, że ciocia Biurcia pozbawia się przykrości wysłuchiwanie, co też myśli i mówi jej otoczenie, jakie tam dojrzewają poglądy, jakie wyrastają nastroje, o których ciocia Biurcia może się dowiedzieć nagle i niespodziewanie, gdy one tak wzbiorą, że przerwą wszelkie tamy i panować nad nimi wówczas będzie zapóźno. Ciocia Biurcia niebardzo się tem przejmując, uważając, że trzeba się trzymać tej samej taktyki, jaką kierowała się przed wojną jej kuzynka rosyjska — tłumić te głosy opinii publicznej, które nie zgadzają się z jej zdaniem. Ach, gdybyż życie można było powstrzymać w jego nurciel... Ciocia Biurcia byłaby z tego bardzo zadowolona.

Nie znaczy to jednak, aby ciocia Biurcia nic nie tworzyła i trwała w zupełnym kwiatyźmie. Ciocia Biurcia ma pewną chorobliwie rozwiniętą pasję. Lubi pisać, bardzo dużo pisać. Pisanie staje się treścią jej życia. Niejeden diagnosta pokiwał głową i powiedział: *grafomania acuta*. Nie wiem dobrze co to znaczy, ale podobno nawet kliniczne leczenie niewiele by tu pomogło. Taką już pewnie umrze ciocia Biurcia. Czegóż ona nie pisze?... Okólniki, wyjaśnienia, komentarze, rozporządzenia, instrukcje, statuty, ustawy. Żadna z jej koleżanek z innych krajów nie zdradza tyle ekspansji pisarskiej, co nasza ciocia Biurcia. W oceanie papierowym tonie często zdrowy sens, życiowa celowość, praktyczna potrzeba, a utrzymują się na powierzchni same paragrafy i artykuły. Te nie toną, bo są w środku puste.

Poza tem wszystkim ciocia Biurcia jest srodze zachłanną. Stara się objąć swemi paluszkami wszystkie objawy życia, które stanowią domenę prywatnej pracy i inicjatywy. Żaden z tych interesów się jej nie udaje. Papierowe jej gospodarstwo spotyka się z deficytami, nie wytrzymuje próby życia, ale to jej nie odstrasza. Zabiera się chętnie do przemysłu, do handlu, lubi mieć dużo lasów i nie lubi ich oddawać nawet z wyroku sądowego, w ostatnich czasach wzięła się do ryb. Ma tę pociechę, że na tych interesach nie może stracić, albowiem samanic nie posiada, a za jej gospodarcze wyczyny i błędy płaci... Grecja. Bodajto robić kiepskie interesy za cudze

pieniądze. Z takiego proceduru można dobrze żyć. A więc ciocia Biurcia żyje i tyje, chociaż... Grecja chudnie.

Podobnie doświadczonym władcom, ciocia Biurcia rzuca z wysokości swego piedestału i puszcza w obieg górne hasła w rodzaju: „Oszczędność jest bogactwem narodów”, albo: „Niech żyje radosna twórczość!”, albo: „Kupujcie losy loterii państwowej”, albo: „Frontem do szarego człowieka”, albo: „Cukier krzepi”, albo: „Korzystajcie z pocztyl”, albo: „Jedz ryby, będziesz zdrow jak ryba!” i t. d. Hasła te zazwyczaj zużywają się szybko. Po krótkim żywocie gasną i przechodzą do składu wyświechtanych frazesów, ale przez pewien czas deklamowane są z upojeniem na wszystkie tony przez górę i przez dół, dopóki nie przyjdzie moda na inny frazes, mający uratować ojczyznę.

Ciocia Biurcia byłaby może postacią tragiczną, gdyby widziała samą siebie, gdyby umiała spojrzeć krytycznie na swoją działalność, ale wrodzone dobre przekonanie o własnym posłannictwie zabija jej wszelki sąd o samej sobie, a innych sądów nie chce słyszeć. Nie dorosła więc, jako postać sceniczna na deskach świata, do roli tragicznej. Brak jej uświadomienia, którem przesyczone są wielkie postacie dramatyczne. Stąd jej działalność tak często nadaje się na tematy do wesolych feljetonów. Ale jest to często śmiech przez łzy.

Bolesław Szyszkowski.

Błędna terminologia.

(Na marginesie pracy C. Osieczkowskiej „O szkole polskiej malarstwa bizantyjskiego”).

W pracach naukowych nadzwyczaj poważną rolę odegrywa *terminologia*. Jeśli jest wadliwa, jeśli używane przez badacza terminy są mętne i zbytnio rozciągliwe, to i praca jego *eo ipso* staje się mętą, a wnioski częstokroć są bałamutne.

Refleksje te nasunęła mi skądinąd nader ciekawa i cenna praca Celiny Osieczkowskiej p. t. „O szkole polskiej malarstwa bizantyjskiego”, zamieszczona w zeszycie 1—4 tomu II wydawnictwa Twa Przyjaciół Nauk w Wilnie „Prace i materiały sprawozdawcze Sekcji Historji Sztuki” (Wilno, 1935).

„Między końcem XIV-ego a połową XVI-ego

(Kolatorowie) brać mogą pieniądze (od mających się święcić) bez żadnego skrupułu..., żeby zaraz w początku zostawić popka w niedostatku, aby sobie książek zabobonnych i schyzmatyckich nie miał za co kupić.. Temi i tym podobnymi środkami nasi przodkowie wiele schyzmatyków do jedności Kościoła przymusili; jakich i my używając, resztę, da Bóg, poczynimy unitami, a potem wszystkich na rzymskich przerobimy katolików... Tem samem zostawimy ich w takim niedostatku, że i sukni i przystojnej... sprawiać za co nie będą mieli: cóż dopiero... dzieciom swoim dawać dobrą edukację?. Temi tedy postępując sposobami, w pożytecznym nam, a Rusinom nieznośnym ubóstwie utrzymamy popów, i nadto jeszcze zjednamy ku sobie, przez te pobłażania, przychylność, a ku popom nienawiść chłopów naszych, i łatwiej ich przychylnych na swojej, kiedy zechcemy, obaczymy stronie.

Po ósme. Familje popów mają być ze wszyst-

kiem do zwierzchności dworskiej pociągane i za najmniejsze wykroczenie lub sprzeciwienie się, dla większego ich poniżenia, surowiej karane. Tudzież ogłaszać potrzeba, że synowie każdego popa, *vulgo* popowicze zwani, oprócz jednego, który na miejsce ojca swego ma być popem, od poddaństwa nie są wolni... Że zaś mają wstęp wolny do szkół naszych publicznych, jak wszystkie dzieci szlacheckie, więc szlachta ma ich prześladować. Ojcowie (roz. kierownicy szkół zakonnych) nieznacznie podadzą na to sposób, w czem nauczyciele, jako rozumni (wiem bo i sam doświadczyłem), nietylko dyssunitować będą, ale nawet i sami pomogą prześladować... Szlachetne dzieci... błąd i wykroczenie złożyć będą mogli na Rusinów.

Po dziewiąte.

Po dziesiąte. Najbardziej z siebie uparci i drugich w uporze utrzymują Rusnacy *de plebe*, pisma swoje czytać umiejący: znieść tedy w nich przyczynę

wieku, rozkwita ze szczególną siłą malarstwo bizantyjskie w Polsce dzięki poparciu, jakim się cieszy u Jagiellonów. W związku z tem malarstwem należy wprowadzić rozróżnienie między malowidłami bizantyjskimi cerkwi prawosławnych a takimiż malowidłami kościołów katolickich. Malarstwo w kościołach katolickich ulega wpływom tradycji łacińskich i wyodrębnia się w oddzielną szkołę”.

Tak mówi autorka na początku swej pracy. I nieco dalej, zaznaczając, że praca jej dotyczyć będzie *jednego* tylko kościoła w Polsce — lubelskiego (aczkolwiek istnieje szereg innych, posiadających freski w stylu bizantyjskim, jak w Krakowie, Sandomierzu, Płocku...), stwierdza, iż „formy (lubelskich) malowideł są greckie, lecz silnie przesiąknięte najrozmaitszymi wpływami, między innymi rosyjskimi, jakoteż serbskimi i zachodnio europejskimi”. „Styl tych malowideł jest więc eklektyczny. On to charakteryzuje sztukę polską okresu średniowiecza i odróżnia ją naprzykład od sztuki rosyjskiej, odznaczającej się swoistym stylem. Trudno spotkać w sztuce takie stopienie się dwóch odmiennych kultur, Zachodu i Wschodu, jak to ma miejsce w prezbiterjum kościoła Świętej Trójcy w Lublinie”. „Tylko w Polsce, położonej na rubieży dwóch różnych światów, mogło nastąpić ich zlanie się tak bardzo harmonijne. Dzięki temu nasze (lubelskie) malowidła posiadają znaczenie wyjątkowe”.

Jeśli chodzi o średniowiecze, to powstaje przede wszystkim pytanie, o jakiej Polsce i o jakiej Rosji mówi autorka? Rosja w znaczeniu mocarstwem przecie podówczas nie istniała, — istniało natomiast państwo Moskiewskie, obejmujące z ziem zwanych ruskimi tylko tereny *wielkoruskie*. Ziemie białoruskie wchodziły podówczas w skład Wielkiego Ks. Litewskiego, jak również przeważająca część ziem *ukraińskich*. I każdy z tych trzech terenów posiadał swoiste cechy kulturalne, nie dające się bynajmniej ująć w jednym terminie „rosyjskości”. Obejmowanie więc przez p. Osieczkowską terminem „rosyjski” wszystkich trzech ziem ruskich jest kapitalnym błędem autorki, który się mści na niej, gdyż przesłania przed nią powszechnie znany fakt, iż *przedewszystkiem na ziemiach białoruskich odbywała się w malarstwie cerkiewnym synteza wpływów Wschodu i Zachodu*, jaką p. Osieczkowska uznała za zjawisko właściwe wyłącznie Lublinowi. A już stwierdzenie przez autorkę roli Jagiellonów, krzewiących w Polsce sztukę bizantyjską, dowodzi bez żadnej wątpliwości,

iż Jagiellonowie przynosili do Polski bizantyzm nie w rosyjskim, lecz *białoruskim* jego aspekcie.

Potwierdza to zresztą okoliczność, znana powszechnie historykom sztuki (stwierdził to w swych wykładach uniwersyteckich i prof. Morelowski), że w Sandomierzu, gdzie również w w. XIV powstały freski w stylu bizantyjskim, malował takowe, mistrz Andrejko — z „Litwy” pochodzący, a więc najoczywiściej *Białorusin*. Tutaj bowiem na ziemiach białoruskich, do panującego od X. stulecia bizantyzmu w sztuce bardzo wczesnie przenikały wpływy zachodnie — zarówno krzyżackie, jak i z Polski, Czech i Włoch płynące. Doskonale uwypukła to praca prof. Szczekacichina (*„Narysy białoruską mastactwa”*, Mińsk), najwidoczniej autorce zupełnie... nieznana.

O jakiej Polsce mówi autorka, to również pozostaje niejasnym. Czy chodzi tu o państwo Jagiellonów — łącznie z W. Ks. Litewskim, czy też o Polskę w ścisłym tego słowa znaczeniu czyli Koronę. Należy przypuszczać, iż p. Osieczkowska ma raczej na myśli Polskę etnograficzną, ale w takim razie nie powinna jej przeciwstawiać nieistniejącej w w. XIV *Rosji mocarstwowej*, a chyba ziemiom białoruskim, ukraińskim, wielkoruskim.

Tyle co do wadliwej terminologii, zbyt upraszczającej podział Wschodu Europy na „Polskę” i „Rosję”. Nie mogę wszakże pominąć milczeniem i strony merytorycznej pracy p. Osieczkowskiej. Albowiem nie wystarczy dla udowodnienia postawionej przez nią tezy zasadniczej, wykazania wpływów zachodnich na dzieło malarzy lubelskich (pochodzących, zdaje się, ze Słowiańszczyzny południowej), które jak częstokroć autorka sumiennie zaznacza, mogły być właściwe i sztuce wschodniej. Należałoby przestudjować malarstwo cerkwi prawosławnych — oczywiście nie z etnograficznej Polski, gdzie ich nie było, lecz u najbliższych sąsiadów, przede wszystkim — u Białorusinów, i wykazać, że tam wpływów zachodnich nie było. Ale to dla autorki okazało się trudnością nie do pokonania — z dwóch względów: o malarstwie białoruskim nie wie ona absolutnie nic, wpływy zaś zachodnie na bizantyzm białoruski (nie „rosyjski”!) bezsprzecznie istniały. No — i istnienia aż specjalnej „*polskiej szkoły*” malarstwa bizantyjskiego autorka oczywiście udowodnić nie potrafiła, a nawet nie starała się o to. Poprostu — rzuciła frazes, pozbawiony istotnej treści.

W naukowych pracach jest to rzecz niedopuszczalna.

A. Ł.

uporu, a tak i upor sam ustać musi. W czem łatwo sobie poradzimy Polacy, kiedy zabronimy uczyć się po szkołach przy cerkwiach będących chłopskim synom... Wyuczony bowiem chłopiec w prostej wieśniackiej szkółce, z pod własnego pana o mil kilkadziesiąt uciekając, wolności szuka.. Powinny tedy w instruktarzach swoich ekonomowie i administratorowie mieć zalecenie pilnego przestrzegania, ażeby się chłopskie dzieci nie do książek, lecz do pluga, sochy, radła, cepa przyzwyczajali.

Po jedynaste. Dla łatwiejszego potępienia w czasie Rusnaków, wszystkie trafiające się w obrządkach ich nieprzyzwoitości, zelżywe słowa i postępowania przeciw Rzymianom, częste popów historie (a które między tak wielką ich liczbą znaleźć nie trudno) w osobny regestr zanotowaćby należało, ażeby gdy ten projekt do swego skutku przychodzić

będzie, świat widział słuszne przyczyny tej czynności Polaków. Gdyby zaś na tych prawdziwych tłumiących Rusinów zbywało zarzutach (co między najmędrszym nawet i najlepszym być nie może ludem), skuteczne będzie na poparcie zamysłów naszych, pięknie ułożone na nich rozgłosić fikcje; a skuteczniejsza jeszcze, pod popów, a isamych ich władcyków imieniem, stosując się do przyzwoitości czasu, szkodliwe Rzeczypospolitej, szkodliwe imieniowi polskiemu, szkodliwe wierze katolickiej, rozrzucić sekretne ruskie piśma. Byłoby to wielkim swoich czasów na zniesienie w Polsce greckiej religii dokumentem, i mocnym tak stanu duchownego jako i świeckiego, tak senatorów, jako i rycerstwa, do wykonania zbawiennego dzieła zachęceniem.

Po dwunaste. Rzeczy nie mają się czynić raptownie, nie wszędzie razem, owszem, ani na wielu

Zgon nestora kleru litewskiego.

W r. 1935 litewska prowincja kościelna poniosła dużą stratę przez zgon najstarszego bodaj (po śmierci ks. Michała Głębockiego) kapłana w Litwie ś. p. ks. protonatorjusza apostołskiego, prałata Mateusza Dobryłły, który był wikariuszem generalnym diecezji wykłowskiej, ponadto piastował aż do śmierci różne godności duchowne. Czasu okupacji niemieckiej, zanim biskup Karaś mógł wrócić do Sejn, nieboszczyk był administratorem apostołskim diecezji sejneńskiej. W tym okresie głośnym było jego wystąpienie publicystyczne i to na terenie Wilna.

Urodzony w r. 1846, a wyświęcony na kapłana w r. 1869 ks. Dobryłło obchodził nie jeden jubileusz ciesząc się wyjątkowo długą względnie dobrem zdrowiem i celując jasnym umysłem. Tyle przeżył zmian wszelakich, tyle widział i słyszał, tylu ludzi znał, że naprawdę był żywą kroniką b. diecezji sejneńskiej i skarbnicą jej pięknych tradycji. W latach ostatnich, gdy archiwum tej diecezji trafiło z Sejn do Łomży i chyba tam gdzieś w ukryciu za siedmiu pieczęciami spoczywa, ks. Dobryłło był niewyczerpanym źródłem informacji o biskupstwie sejneńskim dla tych wszystkich, których interesuje historia tej nader eksponowanej pod każdym względem diecezji. Sprzyjała temu okoliczność, że zmarły miał świetną pamięć i znał doskonale miejscowe stosunki.

Wystąpienie zaś, o którym była mowa wyżej, zostało spowodowane ogłoszeniem słynnego memoriału Komitetu Polskiego w Wilnie do kanclerza niemieckiego, w którym problem Litwy, jej przeszłość i stan współczesny zostały oświetlone jednostronnie i w wielu punktach tendencyjnie. Niektóre tezy memoriału nie wytrzymały krytyki. Do tych m. in. należało twierdzenie, że „żadna z narodowości kraju nie posiada absolutnej liczebnej przewagi, żadna nie może być uważaną za wyłączną reprezentantkę kraju całego lub nawet jego części, a więc i Litwini, pomimo swej nazwy, nie mają do Litwy więcej praw, niż Polacy i Białorusini”. Oburzyło to krewkiego ks. Dobryłło. Schwycił więc za pióro i napisał obszerną odpowiedź na memoriał polski, która krążyła po Wilnie w licznych odpisach.

Rozprawił się w niej energicznie ks. Dobryłło z autorami memoriału, którzy w zapale obrończym roli i znaczenia polskości w Litwie posunęli się aż do odmówienia Litwinom posiadania własnych tra-

dycyj państwowych. Polemizując z memoriałem, utrzymanym w duchu wybitnie endeckim, ks. Dobryłło sięgnął w tak dobrze mu znaną przeszłość diecezji sejneńskiej i przypomniał postać biskupa sejneńskiego Pawła Straszynskiego, który niestety żywił taką pogardę dla języka litewskiego, że inaczej o nim publicznie się nie odzywał, jak o języku *baranim*. Tenże biskup parafje czysto litewskie obsadzał proboszczami, nie rozumiejącymi ani słowa po litewsku. Sekundowała mu polityka ministerstwa oświaty za czasów Królestwa Kongresowego, które nakazywało wykładać w szkołach początkowych religję po polsku nawet w tych miejscowościach b. województwa augustowskiego, gdzie ludność litewska wynosiła 95 proc. Wpływ kultury polskiej nie zawsze był dobroczynny, nader często prowadził do spaczenia naturalnego rozwoju miejscowej ludności, zarówno litewskiej, jak białoruskiej. Liczne przykłady ciemnoty ludu wileńskiego, dotkniętego pokostem polonizacyjnym, lecz nie rozumiejącego dobrze ani mowy polskiej, ani zasad religijnych, wpajanych mu w tym języku—przytacza ks. Dobryłło w swej odpowiedzi, która została przyjęta przez społeczeństwo litewskie ze zrozumiałym zadowoleniem. W społeczeństwie polskim natomiast, rzecz prosta, zjednała zmarłemu opinję „litwomana”.

Rimtas.

Bibliografia.

Logos. Organ Ligi Odrodzenia Moralnego. Wilno 1935. Nr. 1.

Grono niepoprawnych optymistów w Wilnie uwzięło się odrodzić społeczeństwo wileńskie. Mając pewność, że nie jest to jakaś nowa intryga mniejszościowa, władze udzieliły tym razem dość łatwo pozwolenia na powstanie Ligi Odrodzenia Moralnego i zatwierdziły jej statut. Witamy dziś pierwszy numer nowego a sympatycznego swemi dążeniami organu, chociaż bardziejby nas mógł zainteresować sam statut lub, jeszcze więcej, program i metody działalności. Że pławiące się we wszelkiej nienawiści i zakłamaniu Wilno potrzebuje takiej Ligi, rzecz oczywista. Wszak u nas każdy, kto nie czuje do nikogo nienawiści, wydaje się swym współobywatelom osobą mocno podejrzaną, rzekłbyś, pozbawioną w ich oczach legitymacji na prawo uchodzenia za pełnowartościowego obywatela.

miejscach... A tak powoli, roztropnie i mądrze, gdy na niektórych miejscach, już to zachęceniem, już zdradą, już postrachem, Rusnaków przemienimy na Rzymian, pójdzie nie *praeiudicium*, że za łaską Boga, kraj cały w rzymskie, z wszystkich pożądanem, zakwitnie obrządku.

Po trzynaste. Że zaś lud ukraiński, podolski i wołyński przy swojej obstając wierze, gotów podjąć rebelję, w takowych przypadkach, jeżeli łatwo wyzabić nie będzie można, ani też małością wojsk polskich powstrzymać buntujących się, odżałować powinna Rzeczpospolita tej szkody: wszystkich takowych zelantów Tatarom oddać na usługi, prędko ich jak swoich schwytać; a kraj pozostały ludem polskim i mazowieckim osadzić... Temi tedy i tym podobnym stopniami z Rusnakami postępując, ten niewątpliwie w czasie odbierzemy pożytek, że... Pol-

ska szanowniejsza, mocniejsza i postronnym straszniejsza stanie się... Co daj Boże. Amen”.

Projektów podobnych było więcej. Tak istnieje znany Likowskiemu druk: *Projet sur le moyen à employer pour exterminer le culte gréce-russe dans les provinces russes occidentales. présenté aux états de Pologne vers la fin du XVIII siècle* (Lipsk 1863). Nie negował też istnienia takich tendencji prof. Koneczny.

W ostatnich latach dziesięciu odżyła tu i ówdzie i błąkała się po redakcjach i urzędach myśl zniesienia neounji. Przytem tyle się ujawniło machjavelizmu swoistego, chwytającego się dobrze znanych z przeszłości sposobów i środków!

Grek.

Alé zajrzyjmy do osmiostronicowego, jak widać, nieperjodyku. Nie duży on, jednak *incipit a minimo*, mówi Tomasz a Kempis. Tędy więc droga.

Zamiast wstępu, numer „Logosu” rozpoczyna się od wniosłej, lecz szumnej deklaracji ideowej Ligi Odrodzenia Moralnego (L. O. M.). Nasuwa ona pewne myśli, lecz serca nie wzrusza, jako sucho ujęta rzecz. Ciekawy jest *Projekt programu prac L. O. M.*, gdzie budzą uzasadnione zastrzeżenia w praktyce punkt 7: „Zbieranie materiałów z prasy i z doniesień naocznych wiarogodnych świadków o stanie faktycznym pod względem moralności publicznej” i punkt 12: „Zbieranie materiałów dotyczących zachowania się młodzieży szkolnej i komunikowanie o tem *władzom szkolnym*”. Wygląda to wszystko na ochotniczą policję obyczajową i mało obiecuje dobrego. Rozumie to prof. Konrad Górski, autor artykułu *Kilka wytycznych*. To jeden z lepszych tu głosów. Wyrzistością się odznacza występ K. Marcinkiewicza *Siła niewzruszalna*. Z wdziękiem a subtelnie, jak zawsze, napisany jest artykuł utalentowanej poetki Wandy Archremowiczowej: *Zaniedbana dziedzina*. Rąbie prawdę w oczy Julian Podoski, gdy mówi o dzisiejszych *Brudach w literaturze*. Trafnie ujęto też sprawę: *Czy należy karać dzieci?* Artykuły drobniejsze pomijamy.

Przez życzliwość dla zapoczątkowania, ostrzegamy pionierów odrodzenia przed niebezpieczeństwem w tej sprawie wszelkiej przesady. Anatol France przedstawił w jednej powieści ucieszny typ ligowca, który głosi, że odrodzenie moralne społeczeństwa rozpocznie się dopiero od reformy... bielizny damskiej, która ma wzorować się we wszystkim na męskiej, osłaniając ściśle wdzięki cielesne nawet przed okiem męża. No, ale żart na stronę. Stary France ostrzegał tu tylko przed zabójczą śmiesznością.

Wat.

„*Praleski*”. Hadowiki 1934 — 1935

Znany w Wilnie katecheta gimnazjalny i promotor idei franciszkańskiej ks. dr. Stanisław Hlakowski zaczął u schyłku r. 1934 wydawać czasopismo miesięczne dla dzieci białoruskich p. t. „*Praleski*”. Rzecz można powiedzieć, powstała z niczego. Nie było ani środków, ani sił już wykwalifikowanych, ani nawet typu ramowego dla tego wydawnictwa. Podwójną tę przeszkodę przełamał wstępnym bojem zapal inicjatora i wydawcy w jednej osobie. Ileż jednak zapoczątkowań wydawniczych nawet dość pomyslnych, upada rychło po paru numerach! Tymczasem *Praleski* wstępują w trzeci już rok istnienia. Redagowały je kolejno pp. Wojcikowa z początku i Kotkowiczówna redaktorka dzisiejsza.

„*Praleski*” są wybornie dopasowane do poziomu umysłowego małoletniej dziatwy wiejskiej na Białorusi, która zapewne nie tylko czyta je, lecz poprostu chłonie. Kontakt redakcji z czytelnikami młodocianymi wyczuwa się na każdej prawie stronie. Rzecz znakomita, że brak dłuższych artykułów: wszystko krótkie, zwięzłe, ciekawie podane. Czyta się więc łatwo a ochoczo.

Dobre są bajki z życia zwierząt lub fantastyczne w rodzaju puszkiniowskiej *skazki* o rybaku i rybce. Trochę jest artykułów z przeszłości Białorusi, z dziedziny ochrony drzew i zwierząt.

Oby sympatyczne piśmko rozwinęło się w poczytny organ dziatwy białoruskiej, która kiedyś zajmie miejsce pokolenia dzisiejszego.

as.

Nieco statystyki.

W ostatnich dniach grudnia ub. r. oraz w ciągu stycznia b. r. w Wilnie uległy konfiskacie następujące czasopisma.

W języku polskim:

„Przegląd Wileński” (Nr. 1—2), „Poprostu” (Nr. Nr. 11, 12), „Słowo” (Nr. 25), „Nasz Przyjaciel” (Nr. 4).

W języku litewskim:

„Vilniaus Rytėjus” (Nr. 102), „Vilniaus Žodis” (Nr. Nr. 2, 4)

W języku białoruskim:

„Nowy Ślach” (Nr. 1), „Naša Wola” (Nr. 2), „Bielar. Krynica” (Nr. 3).

W języku rosyjskim:

„Iskra” (Nr. Nr. 6, 9).

W języku żydowskim:

„Zybn Tog” (Nr. Nr. 5, 7, 9), „Wilner Radio” (Nr. 303).

Pozatem został skonfiskowany „Wileński Kalendarz Narodowy” na r. 1936.

Od Wydawnictwa.

Z rozporządzenia władz administracyjnych Nr. 1—2 „Przeglądu Wileńskiego” z d. 16 stycznia b. r. został skonfiskowany za dwa artykuły: „*Recydywa*” oraz „*I co dalej*”, w których Starostwo Grodzkie dopatrzyło się nieprawdziwych wiadomości, mogących wywołać niepokój publiczny, czyli przestępstwa, przewidzianego w art. 170 K. K.

Ponieważ konfiskata nastąpiła w kilka godzin po wydaniu numeru, część nakładu została wyekspedjowana na pocztę. Być może, że część ta nie doszła do rąk naszych prenumeratorów. Administracja naszego pisma uprzejmie prosi o powiadomienie jej w tym wypadku.

SPÓŁKA DUKARSKA

„KRAJ” dawn. „LUX”.

Wilno, Portowa 7, telef. 203

DRUKI PIĘKNE — ILUSTRACJE WIELOBARWNE